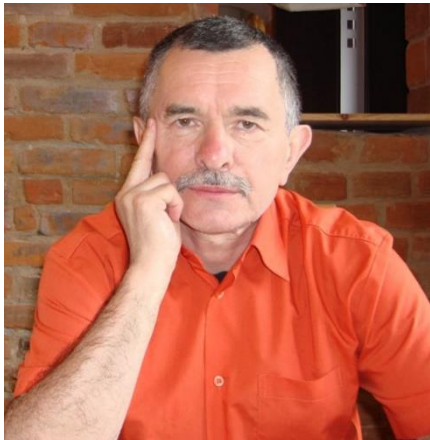


Józef Baran

## Spadając, patrzeć w gwiazdy (65)

(fragmenty)



Mogłaby być mistrzynią smaku, elegancji stylu, celnego trafiania lekkim słowem w sedno – właśnie u nas, gdzie gadulstwo i obfitość gestów zastępują myślenie...

Mogłaby... gdyby ją czytano nie tylko od Wielkiego Pogrzebowego Dzwonu. Wirtuozersko łączyła filozofię z kokieteryą, mądrość z żartem, a niektóre z jej poetyckich zdań są złotymi myślami:

*Nic darowane, wszystko pożyczone.  
Tonę w długach po uszy.  
Będę zmuszona sobą  
zapłacić za siebie, za życie oddać życie.*

Pozornie – krakowska mieszcza i w jakimś sensie – mówiąc brzydko – „produkt” Peerelu... Jednak, poza pierwszymi wpadkami socrealistycznymi, tworzyła wspaniałą światową lirykę, nie poddając się presji Ducha Czasu. Wiersze jej unosiły się lekko nad ograniczeniami ustrojowymi czy obyczajowymi. Pozornie cała zanurzona w morzu krakowskości, peerelowości, wystawiała Czarodziejski Peryskop Poezji, w którym jej życie, chwila, „bieżączka” odbijały się na tle Kosmosu, Wieczności, Dziejów Natury i Historii Ludzkości. „Ksenofobiczna” w życiu – była KOSMICZNA w wierszach...

W odróżnieniu od Miłosza, Herberta, Mrożka czy nawet Różewicza, nie wyjeżdżała w świat, by go „podbijać”, zabiegać o karierę, uznanie. To Świat przyszedł do niej, składając Noblem podziękowanie za to, że pisze tak – jak nikt w świecie...

### Trzy dni u mamy przy łóżku, powrót Mrożka, palamanter

Pierwszy dzień u mamy.

Siedzi na łóżku skulona, podparta trzema poduszkami. Równocześnie podpira czoło ręką, trochę podrzemując, a trochę wychylona

na jawę, z tobołkiem życia – oczekująca sygnału, znaku, gwizdu Stamtąd (skąd?) i terminu odlotu w gwiazdy lub Bóg wie dokąd, bo już wszyscy jej rówieśnicy i sąsiedzi – są po Tamtej Stronie. Starość coraz bardziej ścisza ją w dyby. Już prawie unieruchomiona po ostatniej operacji, w pampersach, zmieniających kilka razy na dobę przez moją bratową Alę. Wprost nie mieści się jej w głowie, że tak długo żyje. Już dawno powinna się „usunąć”, żeby – jak mówi – „dać plac innym”, a tu żadnego znaku, sygnału, gwizdu, trzepotu skrzydeł anioła śmierci...

– No i cemuz Pan Bóg mnie stąd nie zabierze, cemuz mnie tu tak trzymo? – pojękuje.

Nie pozwala, bym nawet na krok się od niej oddalił.

W nocy co parę godzin woła.

– Musisz, mammo, tak głośno wołać? – pyta brat Gienek.

– A bo mi się beceć chce, jak się obudzę i widzę ciemności – mówi mama, która ze szpitala wróciła załęknioma.

Od czasu do czasu ma zwidy, omamy, śnią się jej Stasiu i Boluś, moi braciszczkowie, którzy zmarli jako dzieci (do trzech razy sztuka – ja przeżyłem), a teraz przychodzą do niej w śnie, a czasem i na półjawie.

Drugi dzień u mamy przy łóżku...

Mama dziś nerwowa:

– Zamień kołdrę na pierzynę, bo mi strasznie zimno.

– Zedrzyj ze mnie pierzynę i daj kołdrę, bo mi strasznie goronco.

– A cóż tak cytos i cytos? (czytam II tom dzienników Mrożka).

– A cóż tak chodzisz po izbie, a usiądźże!

– Nie kiwoj się tak!

– Podnieś mnie wyżej.

– Opuś mnie niżej.

– Niżej!

– Wyżej!

– Wyżej, niżej!

– Przynieś mi jeszcze jedno poduske, odkryj mi nogi (odkrywam), rozetrzyj stopy (rozcieram), znajdź sweter w szafie i ubierz (ubieram), zdejm ze mnie ten sweter, bo mi goronco (zdejmuje). A opowiedz mi, co tam u ciebie w Krakowie, nie siedź tak, boś do mnie przyjechał, a nie do ksiózki (opowiadam, ale mało słyszy).

– Aaaaaa – znowu poli jak ogień...

– Oooooo – znowu poli jak ogień...

– O mój Jezu, pomóż mi, zaprowadź mnie do królestwa swego (odmawia modlitwę)...

– ...Bądź moją miłością i zbawieniem, nie opuszcj mnie w godzinie śmierci, w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego. Amen...

– Kej idzies, siedź tu przy mnie...

– Upleć mi włosy, mocniej przyciśnij grzebień do skóry. Rób to jak człowiek, a nie jak niedołyga jaki!

I tak w kółko...

Najgorsze są dla mnie momenty, gdy mamę „pali ogień” gdzieś w okolicach podbrzusza. Te fale bólu przychodzą i odchodzą, a mama wtedy krzyczy, bo mówi, że jej dzięki temu krzykowi – łżej.

Trzeci dzień...

98-letnia mama labidzi, pojękuje (aż się serce ścisza), ale czterdziestoparolatni Mrozek w II tomie „Dziennika” też na potęgę labidzi, pojękuje. A to, że ma spleen, a to, że samotny, a to, że jałowy, a to, że pusty i wie już, że nie rozwiąże zagadki wszechbytu. A to, że źle pisze, a to, że nie pisze. A to kobiet mu brakuje i pisanie mu nie idzie. A to kobiet ma za dużo i przeszkadzają mu w pisaniu. A to, że kobiety łatwe, a to, że trudne. A to, że za dużo pije i ma kaca, a to, że pości, żyje w celibacie i się nudzi... A to – że samotny i samotność go męczy, a to, że nie-samotny i to go rozprasza. A to, że stary, bardzo stary i nic go nie cieszy, wszystko kojarzy mu się z rutyną, z powtarzaniem tych samych czynności. A to, że wciąż niedorostek duchowy, niedojrzały, bo ani mąż poczywy, ani mężczyzna, ani ojciec, ani Polak-katolik... A to, że dużo, za dużo pali i się truje. A to, że dużo, za dużo pije i się truje. A pali i pije, bo lubi i wtedy, gdy szczęśliwy, i wtedy, gdy nieszczęśliwy, kiedy pragnie przełamać skrępowanie wynikające z bycia z kobietą („odpancerzyć się”), a to, gdy jest sam i dotyka go smutek, depresja, niepokój, zniechęcenie ogólne i szczegółowe, niezadowolony z siebie, z innych i ze świata – słowem „weltschmerz”. Opisuje swoje niepokoje przed i po pićciu (na kacu), przed i po spotkaniach z nieznanymi się nawzajem: N. i Y., pomiędzy którymi bywa rozpięty, prowadząc miłosną grę (N. poznałem w Paryżu w 1977, więc tym ciekawiej mi się czyta – przyp. J.B.).

Najciekawszy to bodaj wątek i najcelniejsze refleksje dotyczące właśnie relacji męskodamskich i w ogóle kobiet, miłości, sfery erotyki (nie seksu), a także opowieść o tym, jak autor sobie radzi lub nie radzi, mając „dwie kobiety i jedną literaturę”. Odczuwa strach, że N. odkryje obecność X. w Paryżu i „strach, że X. zniechęci się do mnie z powodu mojego współżycia jednak z N”. A z tej komplikacji wynika strach, że „oba strachy nie pozwolą mi pisać”.

I tak dalej, et cetera. W kółko...

Mama labidzi (dziwić się jej?).

Mrozek labidzi.

Ja – pomiędzy, milcząco, mamę to nakrywający, to odkrywający, karmiący, ubierający ciepłej, podkładający poduszki pod głowę i pod plecy, to znów odkładający poduszki...

Zainteresowany mamą (bo to mój święty obowiązek syna) i zainteresowany coraz bardziej Mrożkiem, bo zbliżam się w „Dzienniku” do momentu, gdy zaczęliśmy w 1974 roku korespondencję, a potem prowadziliśmy ją intensywnie do 1982. Oczywiście Mrozek zainteresowany w dziennikach głównie sobą, natrąca o mnie tylko paroma zdaniem...

W roku 1977 spotkaliśmy się w Paryżu. Wtedy właśnie poznałem N., ale gdy nie była już z nim. Traf zrządził, że zostałem nawet zaproszony do niej na obiad, a następnego dnia z młodym studentem z kraju Grzegorzem Miecugowem i z N. zwiedzaliśmy muzeum w Luwrze.

cdn.

